Rok IX^ty. Nr. 27.



Szkółka niedzielna

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela ósma po Zielonych świątkach,* dnia 6. Lipca 1845.

Religia.

Historya nawrócenia mieszkańców wysp gambijskich w Australii.

(Dalszy ciąg.)

Po wielkiéj usilności wylądowawszy, wyładowali swoje rzeczy i zanieśli do chaty, którą sobie byli wybrali. Lecz uczucia dowódzcy już się odmieniły, i oświadczył im, że ich przyjąć nie chce i że oddalić się mają. Ta odmowa więcéj ich bolała, a niżeli odpowiedź, któcą poprzednio od króla otrzymali. Odjechali więc znowu, nie wiedząc, dokąd się udać mają. Wezwali więc Maryi: *Iter para tutum* (daj nam podróż bezpieczną), i wylądowawszy po wielu trudnościach na wyspę Akana, zostali przyjęci do chaty jednego rybaka, w któréj przeszło miesiąc mieli schronienie.

Szczęściem, zaraz po ich wylądowaniu wrócił od Opatrzności zesłany naczelnik wyspy z podróży swojéj. Ten bardzo się uradował ich obecnością, polubił ich zaraz, odwiedzał codzień, i żądał, aby na téj wyspie zostali. Pewnego razu chciał jeden Francuz z okrętu ściąć drzewo na wyspie; wzbraniał mu tego naczelnik; lecz gdy Francuz nie słuchał, pospieszył naczelnik do jednego z dwóch kapłanów, księdza Caro i zaprowadził go do drzewa. Ten powiedział Europejczykowi, że on wprawdzie nie wie, czego dzicy chcą od niego, lecz że prosi, aby drzewa nie ścinał. Uczynił to Francuz i naczelnik powziął wielkie zaufanie do kapłanów. Ci przywieźli także z sobą rozmaite nasiona na wyspę, i dzicy zdumieli się wielce, widząc, iż się przyjmowały i rosły. Lecz gatunek wielkich szczurów, prawdziwa klęska téj wyspy, pożarły im wszystko, a nawet sól, i dobrzy kapłani nie mieli środków oswobodzenia się od téj psotni. Brat Kolumban słynął u wyspiarzy od tego, iż studnią wykopał. Żartowali oni początkowo z niego, i zapewniali ustawicznie, że nie znajdzie wody, ale raczéj wodę morską. Lecz gdy się o dobroci zdrowéj wody przekonali, nie mogli dosyć wydziwić się, i nazwali go: „człowiekiem, który wodę daje.“ Papka, czyli chléb, który wyspiarze z owocu chlebowego drzewa robią, i *Tioho* zowią, zdał się Missyonarzom z razu, jak wszystkim Europejczykom, bardzo nie dobrym, dopóki się w końcu doń nie przyzwyczaili.

W święto Wniebowzięcia Maryi, oba-

dwa kapłani, w Mszy ofierze, złożyli Bogu hołd, godny najwyższego. Jakże za szczęśliwych się mieli, iż mogli go wielbić na ziemi, gdzie dotąd szatan był wielbiony! Odtąd zdawało się, że pokój zstąpił na wyspę Akana. Dziécię, co kilka dni miało, i śmiertelnie zachorowało, zostało ochrzcone, i we dwa dni po chrzcie umarło. Dusza ta była piérwszym kłosem żniwa, które posłańcy wiary zbierać się spodziewali. Pogrzebli małego trupa według obrządku katolickiego kościoła i zatknęli krzyż na jego mogile. Starali się wszelkiemi siłami nauczyć mowy krajowéj, i odwiedzali wszystkie dzieci chore, chrzcąc, które w niebezpieczeństwie śmierci zostawały. Dla odwiedzenia chorych dzieci, odbywali niekiedy podroż na wielką wyspę Mangarec. Tam popadli raz w wielkie niebezpieczeństwo, i o mało nie zostali pozabijani od mieszkańców téj wyspy, a często jeszcze w większém byli niebezpieczeństwie, jakie w Sodomie groziło od bezbożnych mieszkańców opiekuńczym Aniołom. Gdy razu jednego, podczas takiego prześladowania, dostali wielkiego pragnienia, znaleźli na jednéj górze wysokiéj źródło; a kiedy inną razą cierpieli wielkie łaknienie, wpadli na jednéj łodzi rybackiéj na ludzi, którzy im trzy ryby i cokolwiek Tioho (chléb) na brzég porzucili. Tym sposobem utwierdziła się w nich wiara Opatrzności, która nad nimi czuwała.

Mieszkańcy wysp Akana chcieli wprawdzie zaraz posłannikom wiary wystawić chatę, lecz ponieważ z natury byli bardzo zniewieściałymi i gnuśnymi, musieli zatém ci długo w chałupie rybaka mieszkać. Obadwa kapłani odprawiali codzień świętą ofiarę. Ciekawość sprowadzała tam zawsze kilka osób, a obraz Ukrzyżowanego nie pozostał bez skutku. Tém większą była boleść kapłanow, iż tak długo nie byli w stanie wyjaśnić niewiernym tajemnicy miłości i miłosierdzia. Z całą gorliwością pracowali około nauczenia się języka, lecz ponieważ nie mieli żadnéj pomocy, ani gramatyki, ani słownika, ani osoby, coby im pomódz mogła, praca zatém szła wolno.

Odwiedzili także raz wyspę Akamaru i zostali dobrze przyjęci. Zaczęto i tam także stawiać dla nich chatę. Naczelnik téj wyspy odwiedził ich także w uroczystość Narodzenia Maryi, na wyspie Akana. Żalił się na wiele chorób, które na jego wyspie panowały, i sądził, że takowe od powracających umarłych pochodziły. Kapłani, odwiedziwszy nie długo tę wyspę, znaleźli wiele chorób skórnych, i uważali, iż wiele dzieci od owadu niszczonych było. Obcinali im zatém włosy i oczyszczali.

W Październiku stanęła chata dla nich w Akamaru, i odtąd mieszkali oba kapłani jeden tydzień w Akamarze, drugi w Akana. Polubili ich bowiem już mieszkańcy, i byli chciwi widzieć ich i uczyć się nauki wiary. Nie rozumieli jeszcze, prawda, ojcowie ich języka, byli jednak w stanie na obudwóch wyspach szkołę założyć. Dali dzieciom do rąk pisane abecadło, i uczyli je znak krzyża robić. Skoro rodzice tych dzieci posłyszeli, jak dzielnym był znak krzyża, chcieli go także czynić. Gorliwość dzieci była tak wielka, iż posłańców wiary więcéj nie opuszczały. Dorośli nawet młodzieńcy łączyli się do dzieci, chcąc się czytać nauczyć. Gdy widzieli i słyszeli, jak dobrzy ojcowie przed jedzeniem żegnali się w swoim języku, radowali się mocno; a ponieważ widzieli, jak się modlą, chcieli także nauczyć się

modlić. Nosili im ryby i Tioho. Skoro przyszła sobota, i dobrzy ojcowie na drugą wyspę odjeżdżali, rozstawali się z nimi dzicy z żalem, i prosili, aby wnet powracali. Nie długo dowiedzieli się wszyscy mieszkańcy, iż tylko jeden jest Bóg, że ciało umiera, a dusza jest nieśmiertelną; że dobra dusza do nieba idzie i tam szczęśliwą będzie, a złe w ogień będą wrzucone. Piérwsza modlitwa, którą posłannicy wiary nauczyli dzieci, była ta: „Mój Boże! daj żyjącéj duszy mojéj, gdy ciało umrze, dostać się do nieba, aby ciebie oglądała w długiém życiu, nie mającém końca.“ Naprzód cztérech młodzieńców nauczyło się téj modlitewki, a potém inni. Wnet modliło się wiele osób rano i wieczór, przed i po jedzeniu. Nieraz nie chciały dzieci nie pić, dopóki znaku krzyża nie zrobiły i nie odmówiły modlitwy. Kiedy kto zachorował (a było wtedy wiele chorych), to przychodzili ludzie i prosili ojców, aby odwiedzali chorych, i modlili się nad nimi, aby ozdrowieli, i Bóg błogosławił ich modlitwie, że nikt długo nie chorował i nikt nie umiérał. Chociaż mieszkańcy mieli skłonność do kradzieży, i lubili suknie, nie ukradli jednak nic Missyonarzom, a ci karmili ich nadzieją, że nakoniec okręt z Francyi przybędzie i przywiezie im materyi na suknie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości.

Panowanie gorzałki.

(Dokończenie.)

„„Zajrzyjmyż teraz do domów pijaków. Coż tu widzisz wchodząc? Oto ledwo stare potłuczone łożysko z garścią barłogu, bez pościeli! Zajrzyjmyż do gospodarstw tych ludzi, którzy się lubią tą gorzałczaną bawić trucizną, którzy nigdzie z większém upodobaniem nie zasiadają, jak w owych jaskiniach czartowskich. Częstokroć po budynkach, po inwentarzu, po uprawie roli, można pijaka poznać; bo na co się wejrzy, to wszystko w nieporządku, zniszczone, obdarte, zbiedzone. — Czemuż? bo pijak nie ma chęci i ochoty zatrudnić się czémkolwiek. Gospodarstwo zostawione czeladzi marnieje widocznie coraz bardziéj. Jego zbiory nie starczą na podatki, na potrzeby, na gorzałkę, na piękne chustki i stroje dla żony! Cóż tu robić, woła gorzałczany gospodarz, pieniędzy potrzeba, nikt pożyczyć nie chce? Ha! mówi nie lepsza od męża żonka, zastawmy płóskę, zastawmy lub sprzedajmy kawał ogrodu lub łąki, a będzie grosz; może nam téż Pan Bóg lepiéj potém błogosławić będzie, a dogrzebiem się znów tego, cośmy dziś stracili. Tak sobie wspólnie na szkodę własną, na krzywdę dzieci doradzają. Stanęła wreście ugoda — kawał ziemi sprzedano, pieniądze jak przyszły, tak poszły, bo dłużnicy już na nie czekali. „Dość tam jeszcze masz pieniędzy?“ mówi miła żonka. — „Ha, już jeno pare trojaków.“ — „Jezus Marya, gdzieżeś je podział?“ — „Dyćem zapłacił w jednéj szynkowni 10 Tal., w drugiéj 6, w trzeciéj 15cie. Żydowim oddał co mi był pożyczył, i rzemieślnikom; dosyć, że mi już nie wiele co pozostało.“ — „Ady ja też jeszcze winnam Jabramowi pare talarów; słysząc, żeśmy rolę sprzedali, napastuje mię co aż strach, i mówi jak mu dzisiaj nie oddam, to mię zaraz jutro będzie skarzył.“ — „A tyś za co winna?“ mówi mąż rozgniewany. — „Dyć za syc, za chustki i jeszcze tam za niektóre małe rzeczy.“ — „Cóż robić,“ mówi mąż, „trzeba iść do niego, bo może być więcéj straty.“ Poszli więc do pana kupca. Żydek, niby rozgniewany, woła: „Gospodarze, moje penądze, jo was będzie skarzyć, jak nie zaplacicie.“ — „No kupcze dość wam się należy?“ — „Dość się należy? oto rachunek: pętnaście Talarów.“ „Piętnaście Tal.,“ mówi zadziwiony gospodarz, „a to za co?“ — „Wej, wy nie wiecie, za jednę chustę, za gorzałkę, za

poncz i arak, co wasza kobieta u mnie piła i brała. No, czy nic nie chciecie zapłacić? A gdzie wasza kobieta podzie drugi raz z swemi komoszkami i krewnemi, przecie u mnie nalepsze trunki, nawet z innego miasta odemnie biorą szynkarze!“ — „A kiedy ja tyle pieniędzy nie mam.“ — „No ja nie chce penądze, ja mam penądze. Macie żytę, pszenicę, wełnę, to ja wezmę za te penądze.“ — „To dobrze,“ mówi ucieszony gospodarz; tymczasem Żydek nieznacznie w zawinięciu nowy towar żonce w koszyk włudził, bo ją jeszcze ma na czém patrzeć.

„„Tak więc marnie poszedł kawał ziemi, który synowi poczciwy ojciec pozostawił, u którego nigdy biédy nie było, który miał dosyć chleba dla siebie i dla innych potrzebujących wsparcia. W domu zaś jak była tak jest biéda. Dla niedozoru nigdy się nic nie uchowa, każde bydlątko trzeba kupić, a kupione nie długo trwa! czemu? bo co tydzień musi stać przed szynkownią, aż się kto zmiłuje i pana gospodarza na wózek wsadzi, lejce w rękę poda i za miasto wyprawi. Zgłodniałe, zmarzłe, przybywszy do domu, dzwoni zębami nad próżném korytem, bo któż mu tam ma podać garsztkę słomy, lub siana? Na drugi dzień wlecze, wczorajszą gorzałką jeszcze odurzony gospodarz, szkapsko za łeb do pługa, — owo szkapsko, które drugi dzień głód mrząc, ledwo na nogach utrzymać się może! — Jakaż tu będzie robota —, każdy zgadnie. — Jakie urodzaje na rolsku zarosną, które nigdy nie uprawi, tylko popyszcze; nigdy nie wymierzwi, bo gnój albo na rynku przed szynkownią został, albo téż w stajniach, po drodze, lub téż na pastwisku? Otóż gospodarstwo kochającego gorzałkę. Ale i gospodarstwo gosposi nie lepsze; ogrody dozorowi gospodyni pozostawione, poczęści są puste, lub nędzne tylko ogrodowiny wydają, spiżarnia próżna, bo co było kaszy, mąki, gosposia albo do szynkowni wyniosła za gorzałkę, albo w mieście sprzedała — resztę domownicy, dziewki lub baby wypróżniły. — Czy jest, czy nie ma interesu, trzeba do miasta z koszykiem. Tę kurę, albo kaczkę, albo jaje, któreby mogła w domu zamiast gorzałki zjeść lub sprzedać, trzeba nieść do miasta — czemu? bo tam dobra wódeczka. Ta sprzedaż zaś trwa zawsze prawie do wieczora. A w domu jak sobie chce. Dzieci, te dzieci, za które matka ciężki przed Bogiem będzie musiała złożyć rachunek, te dzieci tułają się bez dozoru, bez nauki, zbrudzone, zwalane, obdarte, więcéj podobne do zwierzęcia, niż człowieka, uczą się zawczasu, głodem przyciśnione, kradzieży tak w własnym domu, jak w obcym; uczą się kłamstwa, lenistwa, nieporządku, bo w tém rosną, na to się przypatrują, uczą się przekleństwa, złości. Któż je ma zaś od tego odzwyczajać, jeżeli nie matka. Mój Boże! a matka nie lepsza! Tym sposobem gospodarstwo marnieje, aż zmarnieje. — Długi robią się coraz większe, nareście dłużnicy widząc, że już należytość ich w niebezpieczeństwie — skarzą nieboraka — i zabierają wspólnie ze sądem nie tylko gospodarstwo, ale cały przyodziewek.

„„Czytelniku, znasz może nie jednego, który tym sposobem z laską wyszedł z swego majątku, a dziś się tuła i żebrze wsparcia, dziś ciężarem innych. Nieszczęśliwe zaś dzieci, przyszedłszy do rozumu, z zgrozą przypominają sobie marnotrawstwo rodziców.“ “

„A dalibóg ci prawda, mój kochany kumotrze, święta prawda! tak się dzieje, tak, tak,“ zawołał z uniesieniem Szczéry. — „A nu widzicie,“ rzekł Szołtys, „i jakto tu nie powstawać na to gorzałczysko, co tyle licha broi. A niech je tam wściornascy wezmą. Boć i wino nie lepsze, ale to nas nie tyczy; ono znowu tych wielkich maceruje. I onymby trza, by się pomiarkowali, bo to wszystko przybysze pobiorą.“ — Szczéry: „Niech wam też Bóg da zdrowie za to, żeście mi o téj książce powiedzieli; jak będę w mieście, to ją sobie zaraz kupię, bo ten mój zięć Mańczak, to potrzebuje takiéj nauki.“

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: X. *T. Borowicz.*)